



# BARUNTSE

## czyli siła

Czekamy w dwójce piątą dzień. Już nawet nie chce nam się ze sobą rozmawiać. Liofilizaty stają w gardle, na spółkę nie jesteśmy w stanie zjeść jednej porcji. Efekt tego będzie całkiem sympatyczny – oboje zrzucimy sporo kilogramów, nic tylko zacząć ostry trening na ścianie, nareszcie grawitacja nie będzie aż tak odczuwalna. Ale zacznijmy od początku....

### Treł

Na Baruntse w tym sezonie nie da się wejść – słowa spotkanego po drodze Izraelczyka dudniły nam w głowie przez ostatnie dni trekku do base campu. W początkach września Nepal nawiedziło trzęsienie ziemi, które według relacji miejscowych zupełnie zmieniło układ grani szczytowej, wskutek czego nikomu nie udało się otworzyć drogi na wierzchołek. Wszystkie ekipy zawracały z wysokości około 6800 metrów, nie mogąc sforsować piętrzącej się przed nimi silnie uszczelnionej śnieżno-lodowej ściany.

Tego nie wzięliśmy pod uwagę. Słyszeliśmy co prawda o lodowym uskoku, który dwa lata wcześniej powstrzymał polską ekipę z Łódzkiego Klubu Wysockogórskiego, przewidywaliśmy jednak, że po tegorocznych obfitych opadach

śniegu nie będzie on sprawiał większych trudności. Ale trzęsienie ziemi?! No tak, zbyt łatwo być nie może... Postanawiamy się jednak nie zrażać. Kto wie, może ziemia znów się zatrzęsie i wszystko wróci na swoje miejsce? ☺

Póki co rozkoszujemy się trekkiem przez odludne okolice. Pogoda dopisuje, widoki są przepiękne, a nas, himalajskich debutantów, wszystko zachwyca, dziwi i cieszy.

Zresztą, po pokonaniu szeregu logistycznych zawirowań typu spóźnione i niezwykle trudne do wydobycia z systemu cargo, zmiana agencji, niedobór tragarzy oraz po doszczętnym wyczyszczeniu kont i obciążeniu kart kredytowych (Aniu, oficjalnie przyznajemy Ci rację – kto nie ma kasy, nie jeździ w Himalaje ☺), sam tygodniowy spacer do bazy wydaje nam się czystą przyjemnością.

### Baza

Pięknie położona nad jeziorem, na wysokości 5400 metrów. Organizm reaguje na zmianę wysokości. Głowy trochę pobolewają. Base camp dzielimy początkowo jedynie z wyprawą francuską, dwoma Szwajcarami i Hiszpanką. Baruntse nie jest popularnym celem, co zresztą bardzo nam odpowiada. Sąsiedzi również ostrzegają nas, że w tym roku grań szczytowa jest wyjątkowo niestabilna i niebezpieczna.

Minusem naszego nowego domu jest wyłącznie temperatura. Anka mówi, że jedyna wyprawa o porównywalnym „komforcie” termicznym, na której była, to zimowe Makalu. Egzystujemy jedynie od wschodu do zachodu słońca, czyli mniej więcej między 8.00 a 18.00, dzięki czemu wysypiamy się za wszystkie czasy.

### Pierwsza próba

Efekt tygodniowego działania to dwa założone obozy. Do high campów wszystko wnieśliśmy na własnych plecach, każdy ugiął się pod ciężarem 20-30 kilogramów. Wycieczka na górę skutkuje całkiem niezłą aklimatyzacją. Gorzej ze

zdrowiem, podczas restu w bazie oboje wcinamy antybiotyki z zasobnej apteczki wyprawowej przygotowanej przez Ankę. Z naszego trójkowego zespołu niezłe trzyma się jedynie Robert. Mimo osłabienia, po dwóch dniach leniuchowania decydujemy się ruszyć do góry. Do jedynki docieramy co prawda solidnie zmęczeni, ale z poczuciem, że choroba chyba zaczyna odpuszczać.

Nazajutrz szybko pokonujemy drogę do dwójki. Odkopujemy namiot, odbywamy codzienny rytuał topienia śniegu na herbatę, zmuszamy się do zjedzenia liofilizowanej papki i nastawiamy alarm na piątą rano.

Pierwszy atak kończymy na wysokości około 6700 metrów. Jest późno, brak nam sił i chęci. Siadamy i podziwiamy piętrzące się dookoła szczyty. Naprzeciwko złowrogo szczyrzy się Makalu, a raczej my tak ją postrzegamy, mając w pamięci to, jak nieczule obesła się z naszymi chłopcami niecały miesiąc wcześniej. Mamy nadzieję, że Baruntse okaże się łaskawsza i wypuści każdego z nas do domu w jednym, integralnym kawałku.

Następnego dnia wszyscy ociągamy się z zejściem do base campu. A może

Aga i Paweł, którzy próbowali zdobyć szczyt dzień po nas.

My jednak uparliśmy się. Góra kusi, jej czar każe zapomnieć o chłodzie, kończącym się jedzeniu i tęsknocie za prysznicem. Postanawiamy poczekać jeszcze dwa dni i atakować wraz z dużą grupą wspartą kilkoma poznanymi wcześniej Szerpami.

## Czekamy w dwójce już piąty dzień...

Po południu dociera wyprawa komercyjna, marzną, czekając aż Szerpowie rozbiją dla nich namioty. Przełykamy ślinę, gdy na naszych oczach wcinają czekoladę – nam takie smakołyki skończyły się już kilka dni wcześniej. Ale to nic, wkrótce będzie po wszystkim i niezależnie od efektu kolejnej próby z pewnością nagrodzimy się pysznościami zabunkrowanymi w base campie.

Po raz kolejny odbywamy dyskusję na temat plusów i minusów wyruszenia na atak w środku nocy, mimo że wszystkie argumenty znamy już na pamięć. Z jednej strony obawiamy się zimna, z drugiej chcielibyśmy mieć duży zapas czasu, żeby wrócić do obozu przed zmierzchem. W końcu decydujemy się wystartować o drugiej.

W nocy tradycyjnie nie możemy spać. Tabletki nasenne również dawno już „wyszły”. Trochę drzemiemy, trochę czuwamy, z niecierpliwością czekając na dźwięk budzika. Zresztą balibyśmy się zapaść w sen, żeby przypadkiem nie zapaść i nie przegapić naszej ostatniej szansy. Nareszcie! Około pierwszej zegarek Marcina zaczyna dzwonić. Wyglądamy na zewnątrz. Wzdłuż grani widać już



for. Izabela Czaplicka

Marcin pokonuje lodową przełęcz Ampulaptsa

sznurek czołówek, nasi sąsiedzi wyruszyli wcześniej, niż zapowiadali. Szybko grzejemy wodę na herbatę, przełykamy po kilka łyżek obrzydliwej w naszym mniemaniu kaszki i zanurzamy się w mroźną ciemność.

## Atak

Zimno jest przenikliwe. Intensywnie uprawiamy rowerek palcami nóg i rąk. Ubra-

ni jedyne w goretexy i sweterki puchowe pędzimy do góry, mijając ekipę okutaną w puchowe kombinezony. Na szczęście prawie tydzień spędzony na 6400 metrach skutkuje doskonałą aklimatyzacją. Z początku nawet nie mamy zadyszki, co oczywiście zmienia się wraz ze zdobywaniem kolejnych metrów. Następnym kilka godzin to uporczywe wpatrywanie się w horyzont w oczekiwaniu na pierwsze promienie słońca.

uporu

góra da nam jeszcze jedną szansę? Pogoda mimo prognoz nadal jest przepiękna, bezchmurne niebo i brak wiatru zachęcają do podjęcia kolejnej próby. Mnożymy za i przeciw, liczymy obiady i batoniki, walczymy z przemożną chęcią, żeby dać sobie spokój i jak najszybciej pognać na dół.

Wkrótce okazuje się, że „nasze” zarazki radośnie przerzuciły się na Roberta. Decyduje się schodzić, podobnie jak



Stupa w miejscowości  
Namche Bazar

for. Izabela Czaplicka



Droga przez lodowiec do jedyńki

for. Marcin Dudek

Część terenu znamy już z poprzedniej próby, dlatego fragmenty drogi, na których wcześniej wiązaliśmy się, teraz pokonujemy na żywca. Na wysokości 6800 metrów natrafiamy na pierwszą z wielu przeszkód – przewieszony lodowy uskoki. Marcin pokonuje go kilkoma machnięciami dziab, jednak co była to była. Izie... hmm... powiedzmy, że zajmuje to nieco więcej czasu. Parę chwil później pojawia się nagroda – na twarzach nareszcie czujemy zbawienne słońce. Marcinowi najwyraźniej dodaje to skrzydeł, bo wystrzela do przodu. Spotkamy się dopiero pod szczytem.

Dalej droga wyprowadza na potężną grań pociętą nawisami i szczelinami, istny śnieżno-lodowy labirynt. Trzęsienie ziemi rzeczywiście narobiło tu niezłego bałaganu. Na zdjęciach z poprzednich lat teren prezentował się zupełnie inaczej. My co jakiś czas pokonujemy przedziwne formacje o kształtach rodem z baśni, trawersujemy spadające na kilkaset metrów w dół zbocza, przekraczamy bezdenne szczeliny.

## Szczyt dwiema parami oczu widziany

Punktualnie o 9.30 Marcin jako pierwszy Polak staje na szczycie Baruntse. Iza dociera na wierzchołek około 10.00.

Marcin: *Po trzech godzinach zmagania z granią docieram do kopuły szczytowej. Czekam 10, 15, 20 minut. Miało być wspólne zdjęcie z flagą... Okazuje się jednak, że na tej wysokości stanie w miejscu nie jest najlepszym pomysłem, zwłaszcza że koszmarnie wieje. Nie dają rady, odległość między nami to jakieś pół godziny, więc gdy Iza pojawia się w zasięgu wzroku, decyduję się na samotne wejście. Jestem już na grani, która wyprowadza na główny wierzchołek, widzę powiewające chorągiewki i nić ponad nimi... Przemyka*



Iza na wierzchołku Baruntse

fot. Izabela Czaplicka



Grań szczytowa, w oddali widoczni wspinacze brytyjscy

fot. Izabela Czaplicka

*mi przez głowę, że już koniec, ale w tym momencie dociera do mnie, że muszę przecież jeszcze zejść. Czuję przepelniającą trzewia radość. Szczęście porównywalne do narodzin dziecka. Dla tych kilku minut uniesienia warto się wspiąć. Właśnie dla takich chwil jeździ się w góry, to uzależnia.*

Iza: *Ze schodzącym Marcinem mijam się tuż pod szczytem. Widzę już chorągiewki modlitewne, przede mną ostatnie metry, które pokonuję w totalnej euforii. Marcin do dziś nie może odzalaować, że nie załapał się na zdjęcie z flagą. To ja ją niosłam, obstawialiśmy, że zostawię go w tyle ☺.*

*Tak naprawdę jednak cieszyć będziemy się dopiero po zejściu, a raczej po dotarciu do Lukli. Przed nami pogoni za karawaną, która ruszyła z bazy dokładnie w dzień naszego ataku.*

„Wyciekany” szczyt uświadamia nam, że w górach wysokich poza kondycją, zdrowiem, i sprzętem bardzo ważny jest upór i determinacja. Wytrwałość, która każe podjąć kolejną próbę, mimo że inni zawracają, a myśl o przytulnej bazie nie daje spokoju. W naszym przypadku to przede wszystkim upór zadecydował o finalnym sukcesie. A może to góra postanowiła nas wypuścić, widząc, jak nam zależy?

## Nagroda

Baza. Wchodzimy do namiotu gościnnej wyprawy brytyjskiej. Na stole oliwki, sos czekoladowy, syrop klonowy i... Marcin wręcz rzuca się na piwo. Jedno wypija duszkiem na miejscu, drugie chowa do puchówki ☺. Ale to jeszcze nie koniec, nasz gospodarz włącza grzejnik elektryczny i po raz pierwszy od wielu dni robi się nam naprawdę gorąco.

Lecz mimo tego rozkosznego uczucia, gdy patrzymy z dołu na odcinającą się od granatu nieba, poszarpaną grań Baruntse, ogarnia nas trudna do opisania tęsknota za zamiecią szarpiącą ściany namiotu, jednostajnym dźwiękiem jetboila i szronem na śpiworze.

Autorzy tekstu dziękują pozostałym członkom Polish Baruntse Expedition za współpracę podczas wyprawy.



Ciekawe udogodnienie – słoneczna nagrzewnica do wody

fot. Izabela Czaplicka

Baruntse to szczyt leżący w Nepalu, w rejonie Khumbu. W zależności od źródła podaje się różne wysokości jej głównego wierzchołka: 7129, 7168 lub 7220 m n.p.m. Pierwszego wejścia na górę dokonała w 1954 roku para nowozelandzkich wspinaczy: Colin Todd oraz Geoff Harrow. Wierchołek próbowała w 2009 roku bezskutecznie zdobyć wyprawa Łódzkiego Klubu Wysokogórskiego.

W tym roku na górę działała Polish Baruntse Expedition 2011, w składzie: Anna Czerwińska, Aleksandra Ichnatowicz (Klub Wysokogórski Warszawa), Agnieszka Konopka, Paweł Lulek (Wielkopolski Klub Taternictwa Jaskiniowego), Izabela Czaplicka (Wielkopolski Klub Taternictwa Jaskiniowego, obecnie Klub Wysokogórski Bielsko-Biała), Marcin Dudek, Robert Dziech (Klub Wysokogórski Bielsko-Biała).

Wyprawa zakończyła się sukcesem, 2 listopada na szczycie Baruntse stanęli pierwsi Polacy: Izabela Czaplicka i Marcin Dudek.

